

Agnieszka Zięba-Dąbrowska

Marakesz

Djemaa El Fna (najstłanniejszy plac w Marrakeszu)

Zostałam rzucona w wielki wir zabawy, targu ulicznego, smaków i barw jakie rozpościerają się na egzotycznym placu Djemaa El Fna w Marrakeszu. Podziwiam dorożki i uroczy koniki, które zalotnie potrząsają główką, okoloną bujną grzywą.

Są zwykłe białej, brunatnej i czarnej maści z lekko porozruczanymi, szarymi plamkami. Wzdłuż ulicy rząd palm nasycy dostojeństwem prężące się niczym kot powietrze.

Robi się coraz gęściej od gwaru i skwaru. Co rusz ktoś kogoś potrąca przechodząc. Moje towarzyski nikną w rozpadającej się kurtynie zmierzchu. Umowne miejsca umykają tajemniczo. Człowiek przesuwając obrazy dłońmi szukając wyjścia z zaułku.

Postura minaretu Kotouobija chwytą w swe ornamenty najeżone ostrza ostatnich słonecznych promieni. Zdążą jeszcze na chwilę usiąść na przysadzistym sagowcu po czym rozpędzone śmiechem młokosów zastęją w afrykańskiej masce.



Wchodząc na plac dźwięk piszczałek, fujarek i afrykańskich rytmów staje się coraz bardziej przenikliwy. Oblicza zaklina-czy węży meandrują w jakimś szatańskim grymasie ekstazy. Gady wykonują piruety eksplodując mozaiką łusek i chyboczą swymi ciałkami poddając seansowi tresującego je afrykanera.

Wydaje się, że wszystko przechodzi w nieodgadnięty skowyt dzikości. Ozdobne chusty połykają kroki tłumów wdziecząc się kolorowym w dłoniach zachłannych na dirchamy berberyjskich kobiet.

Muzycy gnawa szczerzą zęby w spektakularnym trio pobrzękując metalowymi dzwonekami i poklepując przy tym zarozumiałe bębny. Do tego ryk sze, samochody, motocykle. Cokolwiek się rusza ma wstęp na ten wariacki spektakl.

Z upływem czasu powietrze się ochładza, ale nie atmosfera. Nad zadaszeniem

straganów rozbłyskują lampki, energicznie wachlując iskrami podniecenia. Chmury tłoczą się w granat i róż, który uzupełnia niebo pomadką odcieni. Armia kupców zachwala towary, których obfitość nie mieści się w szkatule oka.

Owoce prosto z drzew, gdzie o poranku zostały zebrane lądują w ustach smakoszy zmieniając niekiedy stałą postać w wyciśnięty sok. Głowa zupełnie nie służy mi do racjonalnego myślenia. Zresztą trudno ją utrzymać na wodzy.

Czarni mieszkają się tutaj z berberyjską nacją tworząc swoisty mikroklimat. Połykacze ognia rozdają emocje na linii języków żywiołu. Żonglerzy wprawnie manipulują piłeczkami przewiercając jednocześnie wzrokiem zdumionych gapiów.

Fujarki wkręcają powietrze w tryby zwinnych palców marokańskiego włóczęgi. Skoczne małpki zawadiacko łypią oczętami przechadzając się frywolnie po ramieniu pana.

Większa grupa osób tworzy zwarty krąg napierając natarczywie na opowiadacza bajek. Staruszek snuje najbardziej niewiarogodne legendy, jakie kiedykolwiek miały miejsce. Jego ciemna twarz jest poorana bruzdami zmarszczek, ale błękitny ubiór dodaje mu wigoru i pewności siebie. Gestykuluje dłońmi jakby chciał uchwycić unoszącą się nad nim magię wieczoru. Nagle cały ten teatr na powietrzu zastyga. Postaci nieruchomieją w falujących bluzkach, iluminacje nogawek spodni zaczepiają o gwiazdy kąpiące się w palmowych sa dzawkach.

Trwa wezwanie muzeina na modlitwę. Uduchowieni religijnie muzułmanie zwracają się w stronę Mekki. Niechcący i ja zostaję włączona w ten trwający od wieków rytuał muzułmańskiej wspólnoty.

Cisza zalega gwarny plac, wydawałoby się chwilę wcześniej nie do ujarzmienia. Zaraz potem cała machina marokańskich didaskalii i nowa wytacza swoje najcięższe działa kierując je prosto w zagubionych turystów. Odsłaniają się kolejne i następne rewiry ludzkiej pomysłowości. Niewielkie korytarze, gdzie usytuowana jest znaczna część suku rozwidlają się nagle jak skrzydła drapieżnego ptaka.

Migają damskie botki, wyszywane złotą nicią, o skórcie delikatnej namorzynem potu wprawnych rzemieślników. Ich giętka poufałość przyciąga damską klientelę pragnącą mieć w posiadaniu to wspaniałe cacko na własnych stopach. Wtedy można się poszczycić cennym nabytkiem wprawiając je w spontaniczny i wyrafinowany chód. Na jednym ze stoisk misa pełna cytryn tworząca górę żółtych kuleczek, odwróconych „kuperkiem” do przechodniów. Świecą

się swym łojotokiem namaszczenia. Chyba je wziął w dłonie sprawny masażysta i technikami relaksu wy dobył z nich gejzer tajemniczej intensywności. Spomiędzy przytulonych do siebie cytrusów, prezentujących krągłe kształty wyglądają gałązeczki pietruszki. Listki zwisają, jakby chciały uciec, wydrążyć spod masy napierających na nie cytryn. W końcu jednak się poddają, związają swą atrakcyjność w zdesperowany rulonik, zmęczone jak biegacz na mecie, próbujący złapać oddech.

Skąpane są w ekspresyjnej czułości cytrynowego pocierania o siebie.

Chwilę potem prezentują się baranie głowy. Nie jest to dżentelmeński widok. Otwarte pyski w ostatnim pomruku światła świadczą o bezwzględności ich oprawców. W momencie uniesienia oczu zagryzane zęby wypuszczają na widok publiczny parę świadomości. Skwierczą gębule zaprawione dymem. Ułożone rzędami salutują zgodę na zastrzyk adrenaliny.

Wreszcie akrobacje torebek, przerzucanych z rąk do rąk, aż do nasycenia zmęczonych spojówek w roztargnieniu mrugających kształtów i skórzanych odcieni.

Rwetes i maniery placu przyprawiają o obłęd. Grupa turystów ląduje w końcu niesiona tłumem w berberyjskiej zielarni. Nie może zabraknąć tam mnie, aby wysłuchać arcyciekawego wykładu nt. właściwości ziół.

Kierownik zielarni zadziwiająco dobrze mówi po polsku. Czaruje uśmiechem niezdecydowane panie i zamyślonych panów. Żągluje stoiczkami jak kapsułkami szczęścia, wkraczając niekiedy w osobiste rewiry ludzkiej psychiki.



Wzbudza to gromki, niekontrolowany śmiech, lub pąki rumieńców na twarzach. Kobiety interesują się przyprawami, najlepiej takimi, które pasowałyby do każdego dania.

Herbatki z miętą, szafranem, to rarytas i należy mu ulec. Słoiki połyskują czerwienią, zielenią, mutacją kolorów, wezbraną falą grudek i szorstkością. Berber zerka w stronę małżeńskich par, które chcą wypróbować marokańską viagrę z orzechów i miodu.